

TEATR POLSKI w POZNANIU

Motto: Żyjemy jeszcze ciągle wśród panowania dzikich instyktów. Dane nam jest tylko wybierać zło mniejsze, aby uniknąć zła większego. Skoro nie wolno nam patrzeć na zabijanie niewinnego dziecka, to tym mniej wolno wobec wymordowania wielkich grup rozwojowych przybierać rolę litościwych widzów, albo duchowych bojowników, jeżeli tylko przemocą można zatrzymać fale dzikości.

Królestwo wyłącznej miłości nie nadeszło jeszcze!

Rudolf Maria Holzapfel

ZIEMIA OSKARŻA

(„Przejrzały oczy nasze“)

sztuka w 9 odsłonach

Wandy Karczewskiej

Ziemia oskarża

(„Przejrzały oczy nasze“)

Właściwym momentem poczęcia sztuki Wandy Karczewskiej „Ziemia oskarża“ (Przejrzały oczy nasze“) jest pamiętne lato 1943 — okres załamania się Włoch Mussoliniego i związanych z tym nadziei na szybkie zakończenie wojny. Podczas doniosłych ówczesnych wydarzeń politycznych znajdowałem się w Warszawie, gdzie temperatura polityczna dochodziła do najwyższego napięcia. Po rozmowach z ówczesnymi czynnikami podziemnych władz teatralnych wracałem do Krakowa z zaleceniem, aby po odzyskaniu niepodległości znalazła się w repertuarze Teatru Poznańskiego jako jedna z pierwszych pozycji sztuka przedstawiająca choć w części cierpienia narodu polskiego przeżyte w czasie okupacji. Rozmowa na ten temat wszcząłem z wieloma przedstawicielami naszej literatury dramatycznej. Nadspodziewanie szczęśliwym trafem plany moje zbiegły się z zamiarami znanej mi wówczas jako powieściopisarki-marynistki Wandy Karczewskiej, z której domem i rodziną łączyły mnie w czasie okupacji szczerze węzły przyjaźni. Długie, niekończące się dyskusje na temat teatru i sztuki, w których udział brał mój najbliższy przyjaciel i kompan artystyczny Stefan Drewicz, wypełniły nam wiele godzin. Rozmowy te były bodźcem do rozpoczęcia pracy nad sztuką, której problematyka i atmosfera związana jest ściśle z zainteresowaniami i przeżyciami autorki.

Charakterystyczne i nie bez wpływu na sztukę były warunki, w jakich była ona pisana. Autorka puszukiwana przez Gestapo od r. 1939 za przedwojenne artykuły o polskości Gdańska, tropiona od Gdyni poprzez Toruń, Bydgoszcz, Poznań, Kalisz, Kraków — ukrywała się to w mieszkaniu krakowskim, to u znajomych, to w szpitalu, pozostając w zмовie z jednym z lekarzy, to — gdy stawało się goręcej — w Rzeszowie i małej wiosce pod nim. Był to okres największych łapanek, wyciągań z domu. Okres uwięzienia i wywiezienia do Oświęcimia jej brata i matki z Kalisza. Okres ponownych poszukiwań autorki przebywającej miesiącami w tym samym mieszkaniu, które nawiedzało Gestapo. W tym samym mieszkaniu odbywały się tajne komplety, egzaminy maturalne. Nagłe aresztowania wśród młodzieży, uczęszczającej na komplety, wywiezienie jednego z wykładowców — współmieszkańca do Oświęcimia i t. p. podobne chwile, w których Karczewska musiała w jednej chwili opuszczać dom, by szukać schronienia u obcych, to atmosfera stałego napięcia, w której sztuka jej powstawała. Chwila, gdy autorka odkładała pióro po jej ukończeniu zbiegła się z momentem, w którym SS-owcy, otoczywszy dzielnicę „Kazimierz“ zaczęli dobijać się do jej drzwi.

Rzut pisarski utworu w jego pierwszym zarysie trwał od lata 43 r. do jesieni 44 r. a więc przeszło rok. Trudno mi opisać wrażenie, jakiego doznałem w październiku ubiegłego roku, otrzymawszy egzemplarz sztuki.

Byłem bowiem tym człowiekiem teatru, którą ją pierwszy czytał, szczęśliwym, że powstał utwór o dużej sile wyrazu, będący ostrzeżeniem dla świata, że naród niemiecki nigdy nie porzuci swych podstępnych knoów i agresywnych zamiarów. Sztukę Karczewskiej czytało wtedy wiele ludzi zainteresowanych m. in. Karol Adwentowicz, Wiliam Horzyca, Juliusz Osterwa, Karol Frycz, dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie, podnosząc wartość utworu i konieczność wystawienia go na scenach polskich po odzyskaniu niepodległości.

Na chwilę tą czekała sztuka dość długo, zamurowana w kilku egzemplarzach w domach: moim, autorki oraz na wsi. Dopiero dzień 18 stycznia 45 r. pozwolił na wyciągnięcie jej z ukrycia i czytanie w odmiennych warunkach. Skutkiem tego, a i wyników dyskusji, prowadzonych zimą 44/45, były zmiany i przeróbki ukończone w lipcu, które znacznie podniosły wartość artystyczną utworu, zakwalifikowanego do grania w teatrach polskich przez Komisję Repertuarową przy Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie.

Nie wiem jakiego rodzaju utwory miało na myśli społeczeństwo, domagając się w licznych wypowiedzeniach od teatrów nowego repertuaru. Może dzieła budzące w widzu uczucia podniosłe i krzepiące, takie, po których można odetchnąć z dumą, ulgą i zadowoleniem z obudzonego poczucia siły i — ukojonym zasnąć spokojnie, zarzuciwszy na przeszłość i przyszłość zasłonę patetycznej zadumy. „Ziemia oskarża“ nie jest tego rodzaju sztuką. Nie rozlicza się ona z przeszłością zdając z niej podniosły artystycznie zdeformowany rachunek który dla niejednych byłby o tyle przyjemniejszy, bardziej odpowiadający sercu, że; napełniając poczuciem wewnętrznej siły, dawałby artystyczną rekompensatę za lata rozpaczliwej bezradości. W sztuce tej, w myśl założenia, niema ubierania klęsk w patos poezji, ani dźwigania ofiar do roli bohaterów. Niema przesłaniania bolesnej przeszłości dymami podziwu dla męstwa i wielkości zniesionego cierpienia. Jest prawda rzeczywistości okupacyjnej niewuźnieszona niczem zgodnie z przeświadczeniem o szkodliwości narkotyzowania narodu bohaterstwą. Jest więc prawda o rzeczywistości okupacyjnej, bolesnej rzeczywistości. Stąd odmienność sztuki Karczewskiej od utworów, które budzą subtelne uczucia, niemające pogodnego nastroju i równowagi ducha. Odmienność ta określona jest przede wszystkim problematyką sztuki i atmosferą czasów, z których ona wyrosła.

Spieranie się o to, czy należy już dziś wracać w sztuce do przeżytych dopiero co lat okupacji i to na chłodno-realistyczny sposób Karczewskiej byłoby dyskusją poza sztuką i jej założeniem, uwidaczniającem postawę pisarską autorki wobec tego problemu. Z postawy tej wyczuwa się przeświadczenie autorki o obowiązku, o konieczności ujęcia przeszłości w takie formy, aby obraz jej, zgodny z rzeczywistością, był ostrzeżeniem na przyszłość.

Co do mnie, — szczęśliwy jestem, że doczekałem się tej chwili, iż obejmując w moim rodzinnym mieście powierzone mi znowu kierownictwo Teatru Polskiego, mogłem sztukę tę wystawić.

Prapremiera!

Prapremiera!

ZIEMIA OSKARŹA

(„Przejrzały oczy nasze”)

Sztuka w dziewięciu odsłonach Wandy Karczewskiej

Jan Emanuel, dr. historii i socjologii	Stępowski Lech			
Marek Emanuel, jego brat, dziennikarz	Jasiecki Mieczysław			
Ernest Gotard, prokurator, przyjaciel Emanuela	Serwiński Mieczysław	Kobiety		
Adamowski, radny miejski	Neubelt Władysław			
Bałaban, radny miejski	Noskowski Zygmunt	Harcerze		
Matysiak, prezes Związku Robotników	Kostecki Józef			
Józefowa, gospodyni Emanuela	Podgórska Antonina			
Julek, jej syn, lat 14	druh Z. H. P.		Szydłwach, konwojent, żołnierze //	
		Więzień I		Wojdan Zygmunt
Przewodniczący Sądu	Stoma Władysław	Więzień II		Drewicz Stefan
Stanisław Stopnicki, obrońca	* * *	Więzień III, chłopiec lat 14		* * *
Oskarżony	* * *			
Sędziowie, publiczność, dziennikarze		Jakób Stein, zaufany Gotarda		Przystański Kazimierz
		Gruda, kapitan W. P.		Dytrych Lucjan
Kelner	Andrzejewski Józef	Maria Bonecka, sekretarka Gotarda		Barwińska Zofia
Uciekinier	Niewęglowski Józef	Heinrich Kurtz, kapitan Gestapo		Dereń Roman
		Hubert Kolatzky, porucznik, lotnik		Mirski Marian

Rzecz dzieje się w latach 1939—1945

- Obraz I. Sala sądowa (rok 1945)
- Obraz II. Gabinet Emanuela (1—2 września 1939 r.)
- Obraz III. Sala restauracyjna w hotelu (4—5 września 1939 r.)
- Obraz IV. Ulica w mieście (wrzesień 1939 r.)
- Obraz V. Cela więzienna (wrzesień 1939 r.)
- Obraz VI. Gabinet Gotarda — tak jak obraz II. (wrzesień 1939)
- Obraz VII. Hall w willi Gotarda w Warszawie (okres wojny)
- Obraz VIII. Ten sam hall (kilka dni później)
- Obraz IX. Sala sądowa (rok 1945)

Inscenizacja i reżyseria: Stefan Drewicz
Dekoracje: art. mal. Zygmunt Szpinger

Asystenci reż.: Marian Nowakowski
Józef Niewęglowski
Ilustracja muzyczna: Jerzy Młodziejowski

rec. str 1

Był rok 1939. Na ziemi Pomorskiej jesień szła ciepła, pogodna i dostatnia. W przyrodzie wszystko było takie samo jak zawsze, nawet intensywniejsze: poranki bardziej błękitne, kręta Wisła połyskliwsza w słońcu, sady cięższe od urodzaju i zbiory na polach obfitsze. Wszystko było spokojne, pachnące sianem i koniczyną, miękkie od ciszy, wkołysanej w pejzaż pomorski sygnaturką wiejskich kościołów. A jednak było w tym coś niepokojąco ciężkiego. Może to głuchy jęk armat ćwiczących codzień o świcie tam, gdzieś za Wisłą, a może to widok tych dziwnych ludzi tutejszych, pochylonych nad zagonami kartofli, czy zboża. To nie byli chłopci, jak gdzieindziej, w krakowskim, czy kieleckim z rozjaśnionymi twarzami, z „Pochwalonym” na ustach, skorzy do pogwarki z „miastowymi”. To byli ludzie patrzący spodełba, mrukliwi, zawzięci w milczeniu. Przyśtańowało się przed obejściem — rzucali kose spojrzenia, odwracali się, a zakręciwszy się, znikali za węglem. Dziwni, obcy ludzie, jakby mieli coś na sumieniu, lub knuli coś złego.

Byli to — koloniści niemieccy. Rozłani szerokimi falami po ziemi poznańsko-pomorskiej, obsiedli gospodarstwami główne szosy, arterie komunikacyjne. Dopiero gdzieś tam, po bokach, dalej od dróg, leżały pomniejsze własności polskich chłopów, którzy — bywało — w tym morzu germańskim robili się z Kamińskich Steinami. Mówiło się o tym i owym z kolonistów: „U tego jest magazyn broni”. „Tam odbywają się jakieś ciągłe zebrania”. Jedni pytali: „Czy władze wiedzą o tym?” — inni odpowiadali: „Wiedzą, czekają stosownej sposobności, by zlikwidować...” Czekano, a ci, u których były magazyny broni, zebrania tajne, patrzyli na obsadzone gospodarstwami swymi arterie główne, szosy z południa na północ, którymi szły nasze wojska. Patrzyli spodełba i — też czekali.

Jeździło się gdzieindziej, bardziej ku zachodniej granicy. Był to okres organizowania korpusów Obrony Narodowej, na którą przekształcano m. in. oświatowe organizacje dla wojska, Koła Białego Krzyża. Tu i ówdzie apele do Białego Krzyża odnosiły skutek, gdzieindziej ten i ów z nadgraniczy patrzył spodełba, gdy chciano mu dać w rękę karabin, uciekał ze wzrokiem, mówiąc: „My nie chcemy mieszać się w tę robotę, my — apolityczni...”

Ten wzrok cofający się, te wejrzenia z ukosa, ta oszczędność słów w mowie, to nagle zamknięcie, gdy się zbliżało do tych przedziwnych „apolitycznych” ludzi — spotykało się i gdzieindziej: w miasteczkach Wielkopolski, miastach Pomorza, nadewszystko w Bydgoszczy, centrum pomorskiej niemczyzny. We wcześniejszych latach nie widziało się tego, a przynajmniej nie odczuwało tak bardzo. Ot nazwiska niemieckie na szyldach sklepów w śródmieściu, lokale. Przechodziło się, mijano, nie zwracając uwagi. W lecie 39 r. stało się to wszystko jakoś bardziej widoczne. Nie wiedząc o niczym — wchodziło się do jakiegoś lokalu — aż tu nagle urwały się, jak uciął, wszystkie rozmowy, cofały się znów wejrzenia, jakieś urągliwe milczenie kładło się murem między zadomowionymi tu gośćmi a przypadkowym przybyszem. Coś nie było w porządku. Chodziło się po swojej, polskiej ziemi, a czuło się własną obcość, widziało się w oczach tych ludzi cierpliwą pewność oczekiwania na coś, co miało przyjść niebawem. Czy wszyscy tak przeżywali ówczesną chwilę? Nie. Byli, owszem, ludzie w rodzaju Marka Emauela, Matysiaka, którzy ostrzegali nadarmo. Wystąpienia ich nazywano różnie: panowie w rodzaju Ernestów Gotardów — chęcią prowokacji, szowinizmem, luminarne polityczni „sianiem paniki”, „defetyzmem”. Byli i inni: zaniepokojeni możliwością utraty spokoju i dobrobytu mieszczańskiego Bałabanowie i Adamowscy i — ludzie typu Jana Emanuela, którzy nie wierzyli w wojnę tą niewiarą wyrosłą z obrzydzenia do niej, z niechęci zrezygnowania z przekonania, że człowiek dojrzał na tyle, by odrzucić rzeź, jako wyraz regulowania konfliktów międzynarodowych. Właściwie nie wierzyło w nią wielu z nas, bo w wielu z nas tkwiło potrosze z owego Jana Emanuela, który, posiadając pewne pierwowzory, w sztuce tej jest symbolem pewnej postawy wobec życia: wiary w istotność ideałów, uznania humanitaryzmu za jedyny, godny człowieka, wyraz stosunków

międzyludzkich, niechęci, czy niemożliwości zrezygnowania ze swych zapatrywań nawet w obliczu wydarzeń, które zapatrywaniom tym odbierają rację bytu.

Ludzie typu Jana Emanuela zaskoczeni byli wojną, wieloma faktami, które nie dochodziły przedtem do nich. Ze zdumieniem i przerażeniem słuchali o tych „spokojnych” kolonistach niemieckich, którzy wmieszani w tłumy uciekinierów nadgranicznych wieźli furgonami amunicję przeznaczoną na ową dywersyjną „krwawą niedzielę” w Bydgoszczy. W ucieczce przed toczącym się kołosem niemieckim patrzyli w niebo, wyglądając angielskich samolotów, które przyszły miały z pomocą i zakończyć wojnę w kilka tygodni. A potem, gdy okazało się, że ani Anglia ani Francja nie przyszły nam z pomocą, nie dlatego, by nie zadokumentować, że nie chcą wojny, ale że przyjść jeszcze z pomocą nie mogły, — jeśli pełnili jakieś stanowiska — wracali na nie, jak prezydent miasta Bydgoszczy, czy Kalisza, w przekonaniu, że swoim prestigiem mogą zrobić coś dla ludności polskiej, że wreszcie nie zrobili nic złego, że wreszcie dokąd iść mają...

Wracali. W osłupieniu pełnym niewiary natykali się na swych „przyjaciół” Gotardów, zakonspirowanych pełnomocników Rzeszy, na ziemiach polskich organizujących wywiad, Gestapo, dywersję. Patrzyli na paradujących w mundurach niemieckich ludzi, o których przedtem nie wiedzieli nawet, że byli Niemcami: na tego lekarza, czy adwokata, na statystę teatralnego w Bydgoszczy, na urzędowego fotografa portu gdyńskiego, który jedyny miał prawo wstępu i dokonywania zdjęć na obszarze portu Marynarki Wojennej. Byli świadkami zakłamania niemieckiego, perfidii, okrucieństw, wyciągania z domów, publicznych egzekucji — starych, młodych... Tam czterdziestu z inteligencji miasteczka wielkopolskiego, ówdzie sześćdziesięciu... Nauczycielstwo, księża, harcerze. Harcerze bydgoscy — dzieci nieletnie. Tysiące ludzi w Bydgoszczy. Janowie Emanuelowie patrzyli na to. Na widok rozkoszy w twarzach oprawców łamali się w duchu, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na dręczące ich pytania: „Gdzie się podział w nich człowiek? Co uczyniono z człowieka?!” Co wtedy było dla nich cięższe: widok idących na śmierć z podniesionymi głowami, czy tych twarzy oprawców odartych z człowieczeństwa? I Janowie Emanuele ginęli pod ścianami — jak prezydent umęczonej Bydgoszczy, zmaltretowanego Kalisza i innych miast.

Ludzie tego typu istnieć jednak nie przestawali. Żyli, rozumując i czując po swemu. Warszawa przeżywała publiczne egzekucje, w Radomiu wieszano, w Krakowie wymiatano z ludzi ulice, lokale, by zapelnąć cele Montelupich. Ludzie o mózgach i sercach Jana Emanuela myśleli i mówili o potwornościach tej wojny, o zwyrodnieniu rasy germańskiej, o tem jak dożyć, a skoro się dożyje, co zycznić, by nie było już nigdy wojny. Mówili o konieczności moralnego odrodzenia Niemiec przez obudzenie w nich szlachetniejszych uczuć przykładem humanitarnego postępowania z nimi. Z obrzydzeniem odwracali się od metody użycia siły. Były takie dyskusje w literacko-naukowych sferach Krakowa. W tydzień po jednej z nich zwolennicy przebaczenia i odradzenia duchowego SS-owców wpadli w obławę. W kilka tygodni z ich serc i mózgów przepelnionych humanitaryzmem pozostał popiół w krematoryjnych piecach Oświęcimia.

Tymczasem na co innego wysilali swoje mózgi Niemcy. W służbę zbrodni poszła nauka niemiecka, zdolności, talenty, inteligencja. To nieprawda, że w szeregach SS i Gestapo byli sami zwyrodnialcy, typy patologiczne, głupcy. I nie ci byli najgorszy. Najbardziej niebezpieczni byli ludzie, których inteligencja sprzęgła się, jak u Ernesta Gotarda, z instynktem zła, których mózgi trudniły się obmyśleniem podstępnych metod niszczenia nas.

Tworzenie prowokacyjnych organizacji w rodzaju „Wolności” było jedną z tych właśnie metod. Połapać się w nich było zrazu dość trudno. Zrazu słyszało się: do wsi w kieleckim przybył Polak, oficer w mundurze Wojska Polskiego, jakich sporo siedziało w lasach Świętokrzyskich. Zdziwił się, że wieś jest niezorganizowana, namówił do założenia tajnej organizacji, wójta, sekretarza gminy, ci wciągnęli innych. W jakiś czas potem przybyła karna ekspedycja Gestapo z dokładną listą członków tajnej organizacji. We wsi podkrakowskiej to samo zrobiło trzech „partyzantów” przybyłych z lasu po pomoc w żywności. Niebawem ci sami trzej, tylko że już w mundurach SS, przyjechali z lotną brygadą śmierci. Po Rzeszowie i powiecie grasowała znana wszystkim właścicielka sklepu przy pomocy człowieka z tamtejszej inteligencji wciągając

do „organizacji podziemnych” chłopstwo, inteligencję, oddając listy organizacyjne i ludzi w ręce Gestapo. Utworzona w Kaliszu, niewiadomo przez kogo zawiązana organizacja (bez broni!) po dość długim okresie wzrostu dostała się w całości do Oświęcimia.

Tak, trzeba się zgodzić z tym: byliśmy bici nie tylko przemocą fizyczną, ale sprytem, chytryością, wyrafinowaną perfidią, której sprostać było trudno już choćby z tej przyczyny, że nie posiadaliśmy takiej szkoły fałszu, cynizmu i przewrotności, do jakiej zdolni są Niemcy, jaką dał im hitleryzm, którego najniebezpieczniejszymi wyznawcami byli zimni opanowani artyści zbrodni i swojego zawodu.

Ze ścierania się rzeczywistości okupacyjnej z pojęciami człowieczeństwa i humanitaryzmu wyrosła sztuka „Ziemia oskarża”, której problematyka nie przestaje być aktualna. Bo te pojęcia człowieczeństwa i humanitaryzmu mimo wszystko — nie wygasły w nas. Na widok jeńców odzywa się w niejednym z nas jakimś okrucieństwem litości, wstydu i żalu do cywilizacji, że pozwala, że zmusza do tego, aby człowiek człowieka prowadził pod groźą kolby karabinu. Chciałoby się, by się ludzie przestali nawzajem męczyć, niszczyć, by zrozumieli bezsens tego, co czynią. Uwierzyłoby się chętnie, z ulgą, w to, że klęska Niemiec spowoduje ich odrodzenie. Ale — tajne radiostacje niemieckie odzywają się. Wieści z nad Odry mówią o wzrastaniu tupetu niemieckiego. A my sami, choć „sąsiadujemy z nimi na Odrze i Nissie, choć czujemy ich obecność w swojej gromadzie, już się przestajemy nimi interesować. Upojeni zwycięstwem i pewnością, że są pobici, że nie odbudują się jak za sto lat, że surowo się do nich zabierają Sprzymierzeńcy — nie zauważamy, jak Niemcy tworzą nową fikcję, tym razem fikcję demokracji niemieckiej, która w chwili obecnej zgadza się na wszystko, nawet na standary polskie w Zgorzelcu i Szczecinie. Takie fikcje w rękach Niemców zawsze zaczynają się niewinnie i zawsze są groźne” — pisze „Odra”. Wydaje się być ślepym ten, któryby sądził, że naród, doprowadzony do takiej potęgi militarnej i wielkości politycznej, jak Niemcy do okresu stalingradzkiego, potrafi zapomnieć o tym i nie będzie się starał podnieść po swojej druzgoczącej klęsce i odbić, jak to czynił wielokrotnie w swoich dziejach. Jeżeli my, uciskani i gnębieni terrorem, na jaki nigdy nie zdobędą się Sprzymierzeńcy w stosunku do Niemiec, jeżeli my nie wyrzekliśmy się roboty podziemnej, to czyż można sądzić, że Niemcy w o wiele dogodniejszych dla siebie warunkach przestaną knuć po swojemu, marząc o jakimś „odrodzeniu”, któreby doprowadziło kiedyś do odegrania się na znienawidzonych narodach?

Problematyka sztuki „Ziemia oskarża” nabiera tym większej aktualności. Wzrósł wewnętrzny nacisk uczuć humanitarnych, dopuszczonych do głosu wyzwoleniem się z ucisku i widokiem zwyciężonych. Ten wzrost uczuć ściera się tym silniej z rzeczywistością, która nakazuje czujność, wymaga ściągnięcia idealizmu humanitarne go do granic rozsądku, rewizji pojęcia humanitaryzmu, objawiającego się odruchami miłosierdzia dla zwyciężonych i obrzydzeniem dla metod siły używanej w stosunku do nich. Rzeczywistość domaga się rozszerzenia pojęcia humanitaryzmu do zakresu ogólnoludzkiego, w imię którego, w chęci uchronienia świata przed podobnym kataklizmem, wolno i trzeba — tam gdzie niema duchowych dróg zapobieżenia złu — użyć wszelkich innych środków. Lat temu osiem, jakby w przeczuciu czasów, które przysły, pojęcia te zrewidował filozof niemiecki, emigrant Rudolf Maria Holzappel w dziele „Wszelchideal”, którego myśli widnieją jako motto do sztuki „Ziemia oskarża”.

„Ziemia oskarża” nie jest sztuką, o której się mówi, że się „podoba”, lub „nie podoba”. Może ona, rzecz jasna, nie odpowiadać wyznawcom hasła „sztuka dla sztuki”, albo usposobieniom szukającym w teatrze tylko nastrojów, mgieł zadumy. Stuka ta wyrasta z przeżyć i zagadnień najbardziej dziś ważkich i aktualnych. To jest sztuka potrzebna.